

ANITA KLECHA



HVŠTAJKA

BORDERLINE

ANITA KLECHA

HUŚTAJKA

BORDERLINE

[Kup książkę](#)

© Copyright by Anita Klecha & e-bookowo

Korekta i skład: Katarzyna Krzan

Projekt okładki: Halyna Ustymchuk

ISBN: 978-83-8166-311-3

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2022

D.

5000 elementów układanki

Przygotuj się: kup klej, zmywacz do paznokci, taśmę przezroczystą. Nożyczki przydadzą się do przecinania tej ostatniej. Kompas, latarka i witamina C nie są obowiązkowe. Pomieszczenie nie ma znaczenia; równie dobrze może to być kuchnia, łazienka, co i salon. Ważne, aby znaleźć twardą powierzchnię. Błat stołu, biurko lub podłoga nadadzą się do tego idealnie. Wszystko i tak zależy od szczęścia.

Trzeba odnaleźć zagubione fragmenty i poskładać z nich nową rzeczywistość. Koniecznie zaszyj się więc w cichym kącie mieszkania i przywołaj miłe wspomnienie. Wyraźne i prawdziwe: pogoń za motylem, wakacje z przyjaciółmi, pocałunek...

Skup się na tym obrazie. Wniknij w jego głębię. Poczuj smaki i zapachy danej chwili. I uśmiech. Uśmiech karmi duszę czekoladą. Uśmiechnij się koniecznie! Wówczas nożyczki nie podbiegną, nie skaleczą, nie rzucą się na tkanki jak wygłodniałe wilki.

Złóż ten uśmiech na swych dłoniach. Dotknij dłońmi powiek. Poczuj ich ciepło; wtedy wyjęcie

obrazu z oczu nie będzie stanowić większych trudności. Na opuszkach palców ujrzy się jego prawdziwe piękno. Kilka umiejętnych ruchów rękoma, a obraz przekształci się w puzzel; pierwszy element gotów będzie do umieszczenia na nieruchomej powierzchni. Szybkie mażnięcie klejem, a wspomnienie utrwali się w jednym miejscu. Istotne, że w domu. Bo dom to azyl. I miejsce powrotów.

Ze wspomnień zbuduje się tożsamość. Im więcej prawidłowo połączonych puzzli, tym tożsamość bardziej ugruntowana.

– Co za głupoty... beee... I tak ci się nie uda! Beee... bo nic ci się nigdy nie udaje.

– Zamknij się!

I. Październik

Diana lubi zmniejszać się do rozmiarów Tomcia Palucha. Taki wzrost jest w sam raz, gdy ktoś nie chce być zauważony, zjeżdżając po rynnie z pierwszego piętra. Ona oddaje się tej czynności regularnie – co trzeci dzień, bez względu na porę roku czy samopoczucie. I nikt jej nie wmówi, że to niebezpieczne: szczerze powiedziawszy, ma gdzieś jakiegokolwiek „skutki uboczne” ewentualnego upadku. Ale by nie sprawić mamie kolejnego zawodu, wykupiła polisę ubezpieczeniową od nieszczęśliwych zdarzeń. To tak na wszelki wypadek; Diana woli zadbać o spokój swego sumienia, niż doprowadzić do niepotrzebnego poczucia winy. A że nie zwierza się najbliższym ze swych posunięć, nie dopowiedziała im tego, co następuje: Rynna jak rynna, każda taka sama, a kilka zadrapań na ciele o niczym jeszcze nie świadczy. Bo w tym wszystkim Dianie nie chodzi o nic innego, jak o wspinanie się po drabinie do samego Księżyca. Kiedyś myślała nawet, by ustawić drabinę na balkonie. Uznała jednak, że wścibskość sąsiadów mogłaby przerosnąć jej oczekiwania. A co to? A po co? A dlaczego?

Wynalazła więc świetny sposób na zmniejszanie się – zaszywa się w najciemniejszym kącie mieszkania, kuca na podłodze z głową ukrytą między kolanami i myśli: jaką

to przykrość wyrządziła bliskiej osobie, czego znowu nie udało jej się dokonać, za którą to gafę z kolei będzie musiała siebie ukarać.

Im więcej szczegółów sobie przypomina, tym poczucie jej wartości szybciej obniża się do zera; proporcjonalnie do niego kurczy się także wzrost – jest prawie niedostrzegalna.

Wówczas Diana wyskakuje na parapet, zjeżdża po rynnie do ogródka sąsiada i biegnie, ile sił w nogach na pobliskie łąki. Czary – mary – czary – mary... i z kieszeni jej džinsów drewniana drabina wyrasta niczym grzyb po deszczu. Diana wchodzi po niej szczebelek po szczebelku, by czym prędzej ucałować Księżyc.

A z góry wszystko wygląda inaczej: Ziemia przypomina małą piłeczkę, którą kopnąć można w najodleglejszy kraniec wszechświata. Planety krążące wokół niej to otoczone białym pyłem jajka w nadpękniętych skorupkach. Rakiety zaś i promy kosmiczne nie wyglądają inaczej jak plastikowe zabawki.

Diana patrzy i patrzy, nadziwić się nie może, że tych ciał niebieskich wokół niej krąży tak wiele i tylko ona jedna z całej Ziemi siedzi na Księżycu, wesoło machając nogami.

Diana nareszcie czuje się jak prawdziwa królowa. Wzdycha zadowolona i przywołuje do siebie okoliczne gwiazdki. I ach! – jak jej dobrze – Radość rozpiera ją na widok srebrzystych kropek, które dotyka, całuje, przytula, ba! – trzyma w dłoniach.

– No i kto mi teraz podskoczy? Kto? No kto?! – krzyczy na całe gardło, aż niebo ogarnia potężne drżenie. I tak bezpiecznie, i błogo jest w tym księżycowym uścisku, że Diana nie zauważa, jak dookoła jaśnieje; Słońce w otoczeniu orszaku porannych chmur szykuje natarcie na Króla Nocy.

– Szybko, wracaj na Ziemię – szepce Księżyc i strąca ją z siebie, nim Słońce poraża go promieniem.

Diana leci w dół. Uderza o komety, meteoryty, to znów o drabinę. W połowie drogi wściubia nogę między bilion dwudziesty pierwszy a bilion dwudziesty drugi szczebelek; chwieje się. Serce podchodzi jej do gardła.

– Nienawidzę cię, NIENAWIDZĘ...! – wyje, aż po chwili zaczyna brakować jej tchu. – Zawsze się mnie pozbywasz, ty księżycowy faryzeuszu! Już nigdy cię nie odwiedzę, nigdy, nigdy! – zbiega po drabinie, ale jej łaskawość jest ograniczona. – Ty też jesteś przeciwko mnie?! Jak śmiesz mnie zrzuuucaaać... – Spada głową w dół wprost pod okno sąsiada.

Teraz Diana jest wściekła, że już któraś z kolei wyprawa na Księżyc kończy się twardym lądowaniem. Gwiazdy, gwiazdeczki, planety i planetki okazują się jedną wielką bzdurą.

Po rynn timerapuje się zniechęcona, przybita i tak przemęczona, że już na kuchennym parapecie zapada w głęboki sen.

– Przecież Księżyc chciał dobrze! Jak mogłam tak paskudnie o nim pomyśleć... – Budzi się z okropnym poczuciem winy. – A może on naprawdę miał zamiar mnie ratować? I dlatego popchnął w dół? Słońce strzela przecież promieniami jak z karabinu maszynowego... – Gnębią ją wyrzuty sumienia; odechciewa jej się śniadania, zaparza jedynie kawę i zrozpaczona wlepia nos w okno.

Nie może darować sobie własnej głupoty i podejrzliwości. Z jednej strony chciałaby wierzyć Księżycowi w jego szczerze zamiary, a z drugiej nieufność tak mocno jest w niej zakorzeniona, że za nic nie potrafi się jej wyzbyć.

– Przecież nie pierwszy raz mnie z siebie zepchnął! – lamentuje, pokazuje język w nadziei, iż jakimś cudem Księżyc go dojrzy. – O, nie! Więcej nie będzie ani drabiny, ani gwiazd, a tym bardziej JEGO.

Diana wychodzi na dwór. W powietrzu czuć jesień. Ta pora to płacz i spanie. I apatia. I skrzętnie ukrywane narzekanie, którego się brzydzi. I ten ciągły strach, że Czarna Dziura powróci...

Ciągle to samo, w kółko to samo... Boże!

– A było tak dobrze! – zadręcza się, bo wyobraźnia po raz tysięczny sprawia jej zawód i okazuje się ucieczką donikąd.

Diana tłumaczy swemu mózgowi, że to chwilowy kryzys, że jutro, a nawet nie jutro, bo za godzinę czy kilka

minut będzie lepiej i szala emocji przechyli się na tę właściwą stronę, ale perswazje spełzają na niczym. Nie umie wpływać na cokolwiek.

– Niech się dzieje, co się ma dziać... – Opuszcza ręce i wbija wzrok w kępkę pożółkłej trawy. Diana usycha wraz z nią, tyle że o stokroć szybciej. Wszystko wydaje się tak marne, że aż łzy napływają jej do oczu. Brzydzi się sobą za tę słabość: przejemuje się trawą, rozmawia ze sztucami, klnie na niepokładane książki, które śmieją się z jej bezradności.

Spogląda na zegarek: dochodzi siedemnasta.

– Robert już dawno powinien był wrócić z kina! Pewnie znowu polazł do KFC... – Diana wałkuje swojej głowie, by w końcu zrozumiała, że Robert nie kłamie; to o n a doszukuje się dziury w całym, to o n a podważa wiarygodność jego słów, to o n a nigdy mu nie wierzy.

Próbuje zapanować nad dopowiadaniem i mnożeniem bytów, choć intuicję ma przecież „doskonałą”!

– Idź na łąki. Cisza cię uspokoi. A bażanty rozśmieszą... – wydaje sobie rozkaz. Nic z tego.

Szarzeje. Liście są blade jak śmierć. Powietrze staje się chłodniejsze. Dianie robi się cholernie przykro. Czuje, jakby zanurzała się w cuchnącym bagnie pełnym nieszczęść. I nie myli się: z lepkiej mazi wystają zakrwawione głowy, pucynane dłonie, martwe oczy.